

UHOBBISTÓW

Ależ oni są śmieszni, weseli, pogodni, wyglądają na bardzo szczęśliwych! Tylko jak do nich dotrzeć? Jak sprawdzić, jacy są, kim są, dostać na tę cholerną wyspę Flores? A przede wszystkim: jak się dostać na tę cholerną wyspę Flores?



Tekst i zdjęcia: Marek Tomalik

Prosiłem, błagałem, panie przekupywałem, biletu nie dostałem. To może Maumere bliżej środka wyspy? Też nie? Jutro też nie?

Panie się śpieszyły, ładnie przy tym uśmiechały, kolejne podarki do torebek wpadały. Kolejki, ścisk i hałas. Na tym przelotnym targowisku dostrzegłem rodzinę. Postanowiłem załatwić sprawę po męsku.

– Muszę dzisiaj dolecieć na Flores, gdziekolwiek na Flores! – mina miała oddać determinację.

– Sir, ma pan poczucie humoru, hahaha. Ha!

Koń by się uśmieł i małe koniki też – pomyślałem i zrezygnowany zacząłem się wycofywać sprzed kasy jakiejś tam linii typu kukurużnik. Jednak mnie przywołał i w przyptywie łaski szepnął:

– Stay close, nic jednak nie obiecuję – strzelił minę rodem z Monthly Pythona.

A co mi tam, i tak nie mam na dzisiaj planu B, przynajmniej gość ma poczucie humoru – pomyślałem i usiadłem na koszu w zasięgu jego wzroku. W upale sięgającym

35 st. C przysnąłem. Po jakimś czasie ktoś mnie obudził i wskazał Pythona.

– Daj kartę kredytową – wymachiwał do mnie.

Normalnie włączyłby mi się czerwony alarm. Tu jednak zadziałały: intuicja wspomagana przez potrzebę chwili i... zmęczenie. Gęba mi się zaśmiała. Póżywy pofrunąłem do gościa.

– Labuan Bajo, 15 minutes to departure, hurry up! – wyrzucił z siebie bez zbędnych min.

Dał świstek przypominający bilet i pospiesznie wskazał:

– Gate nr 5.

„Nie zdążyłem dopytać, czy to na Flores i ile ściągnąć z karty” – pomyślałem po ultraszybkiej odprawie. Fuck.

Do samolotu trzeba było podejść na piechotę. Wyglądał na wycieczkowy katamaran. Turbośmigłowy.

– Labuan Bajo, Labuan Bajo – nie miałem tej nazwy jakoś w głowie, a powinienem mieć. Kilkunastu pasażerów. Sąsiada zapytałem: – Labuan Bajo, Flores?

Skinął głową.

– No to lecimy – zapiąłem pasy i natychmiast, jeszcze przed startem, zasnąłem.

Po kwadransie ryk śmigła mnie obudził. I dobrze, bo przegapiłbym widoki. Chyba najlepsze, jakie kiedykolwiek z samolotu widziałem. Bajka w promieniach zachodzącego słońca, szczególnie intensywna na sennym niedoczasie. I błoga świadomość, że osiągam cel. Po trzech dniach i trzech nocach.

Jeśli Bielsko-Biała jest centrum świata, to wyspa Flores leży na jego krańcu krańców. To nawet niemal kraniec Indonezji, chyba najpiękniejszego państwa świata. Przynajmniej z samolotu. Aby się tam dostać, trzeba z Beskidów dojechać do Warszawy, potem polecieć do Amsterdamu, potem dwanaście godzin do Kuala Lumpur w Malezji, a stamtąd na Jawę do Dżakarty. A stamtąd na Bali. A stamtąd szybko uciekać dalej, ciągle na wschód. I najlepiej przykleić się do okna. Widoki kolejnych wysp i wysepek wulkanicznych, a są ich tu na Pacyfiku tysiące,

ogładane z pulapu niewielkiego samolotu nie mają sobie równych. Byleby złapać ten samolot. I tu jest pewien problem, bo na balijskim lotnisku był większy harmider niż na Centralnym w Warszawie. Po trzech nieprzespanych nocach sił było mało, a Bali niestety się nie spodobało. Chciałem dotrzeć do Larantuki, najdalej na wschód Flores, jak się da, i stamtąd rozpocząć podróż lądem. Chciałem.

Samolot wylądował na niewielkim pasie równej ziemi tuż obok oceanu. Jedna bambusowa, częściowo odkryta wiatra jako port lotniczy Labuan Bajo. Zanim wysypaliśmy się z samolotu, otoczyła nas ludzka chmara.

– Welcome to Flores, my friend, good-cheap hotel for you.

„Ależ oni są śmieszni, weseli, pogodni, wyglądają na bardzo szczęśliwych” – zamiast się od nich odganiać, stałem i patrzyłem zauroczony. „Czy tak naprawdę jest? A więc to są hobbici? Tylko jak do nich dotrzeć? Jak sprawdzić, jacy są, kim są?”

Poszedłem po linii najmniejszego oporu – wybrałem nocleg z obrazka pod wiatą – chata z bambusa i spokój zamiatany falami oceanu. Tak, to było to. Miało być to, czego na start potrzebowałem.

– Where you from? – zapytał ten, który miał mnie tam zabrać.

– From Bielsko-Biała – rzuciłem na zaczepkę.

– Coutry of Bielsko-Biała? – szukał w pamięci i nie znalazł.

– No, city of Bielsko-Biała, country of Poland – uśmiechnąłem się.

– Poland, Polandia, Padri Stanis! – recytował z barziej od mojego uśmiechniętym pyskiem.

– Soy Marek, no Padri Stanis – nie wiem, dlaczego włączył mi się hiszpański.

– Padri Stanis in Labuan Bajo! Good Man! From Polandia! – wykrzykiwał, dając przyjazne znaki.

No tak, przecież na Flores są polscy werbiści. To niemal jedyna katolicka wyspa w islamskim archipelagu Indonezji – skumałem wreszcie.

– Trzeba będzie odwiedzić Padri, ale najwcześniej pojutrze – powiedziałem do pierwszego spotkanego hobbita, który zabrał mnie łodzią na miejsce spoczynku w dziłości plaż.

– W 1967 roku, kiedy tu przyjechałem, w Labuan Bajo nie było drogi – mówił dostojnie.

W kwiecistej koszuli zamiast habitu werbista o. Stanisław „Stanis” Wyparto wydawał się wielki, barczysty, przy Florynezyjczykach potężny. Mówił wyniośle jak król.



Marek Tomalik
Dziennikarz,
pisarz, podróżnik,
organizator
wypraw
dla wymagających
www.wsednosprawy.pl



O. Włodzimierz Gorgoń i o. Tadeusz Gruca

Jak wódz plemienny. Miałem nieodparte skojarzenia z posturą Marlona Brando z „Czasu Apokalipsy”, kiedy grał pułkownika Kurtza. Tylko z posturą! – żeby mi tu nie było innych, dalej idących interpretacji, OK?!

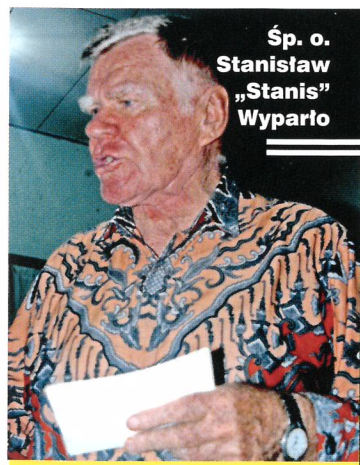
– Cztery dni z Lutengu jechałem na koniu. Tu wszystko było dzikie – mówił jednym tchem.

„Pewnie takim buszem, jaki dziś rano opuściliśmy” – pomyślałem, słuchając monologu.

– Gdy zapytałem jednego katolika, ilu wiernych weźmie udział w uroczystościach Wielkiego Tygodnia, odpowiedział, że około dwudziestu! Teraz, w roku 2009 – 42 lata później – święciłem złoty jubileusz kapłaństwa. Z Labuan Bajo i okolic przyszło 4 tysiące ludzi. Już nie jesteśmy powiatem. Jesteśmy województwem. Prowadzimy dwie szkoły. Mamy tysiąc uczniów. W tym islamistów, bo tu jest dużo wyższy poziom niż w szkole muzulmańskiej. Całe Flores jest katolickie. Aby się dostać do wiernych, budowałem drogi. Ja tu psie mięso jadłem – toczył słowa jak lokomotywa.

Trudno było wbić pytanie. Słuchałem człowieka z tej samej planety, ale nie z tych czasów. W sensie intonacji, doboru słów, artykulacji – pół wieku, a może cały wstecz. Podziwiałem u niego rzadko spotykaną wodzowską charyzmę.

Ojciec Wyparło wybudował 20 kościołów, 24 kaplice, kilka szkół, 7 domów parafialnych i 6 wielofunkcyjnych sal parafialnych. Fundusze wypraszał nie u wiernych, bo oni za biedni byli, ale u władz lokalnych, w instytucjach zagranicznych i u polskich dobrodziejów. Szanowali go starsi, uwielbiali dzieci. Powiadają, że służył ludziom,



Śp. o. Stanisław „Stanis” Wyparło

nie sobie. W 2007 roku odszedł z duszpasterstwa i zamieszkał we wspólnocie werbistowskiej w Labuan Bajo. Zdrowie słabło, toteż pod koniec 2012 roku przeszedł w stan spoczynku. W tym samym roku na wniosek ministra spraw zagranicznych Radka Sikorskiego odznaczony został Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł 14 kwietnia 2013 roku w szpitalu misyjnym w Cancar, Mangarai. Trzy i pół roku po naszej rozmowie.

O hobbitach niewiele z tej lekcji wyniosłem, ale trafiło do mnie, że Flores to najbardziej polski kawałek Indonezji. Wkrótce miało się to mocniej potwierdzić. I chyba po to tu przyjechałem. Planując wyjazd, nie miałem założeń. Nie gnały mnie tutaj dzikie plaże wokół Labuan Bajo, największe jaszczury świata na sąsiedniej wysepce Rinca czy kolorowe jeziora wokół wulkanu Keli Mutu. Wszystko to widziałem i szybko zapomniałem. W pamięci zostali ludzie, spotkania z nimi. Inni od innych i droga do nich. Pomiedzy nimi. Zachwyty nad tym, co robią i jak to robią.

Niestety, nie mogę sobie przypomnieć, jak trafiłem do wioski w górach, gdzie spotkałem dwóch kolejnych werbistów. Na pierwszego z nich – o. Tadeusza Grucę (83 lata) – wpadłem w dżungli, kiedy wracał z odwiedzin u chorych. Zabrał mnie do zdezelowanego dżipa i podwiózł na parafię. Tam czekał na niego o. Włodzimierz Gorgoń (73 lata). Polska gościna. Niewymuszona. Kawa, piwo, obiad i długie rozmowy.

– Ale tu droga do was kręta! Karuzela.

– Oj, kręta. Każdemu zawróci w głowie. Kiedyś po-

Na targu warzywnym w Ende



liczyłem zakręty na trasie z miasta. 365 na niespełna dwudziestu kilometrach – mówił o. Tadeusz.

– Z polskich misjonarzy tylko werbiści są na Flores?

– Na innych wyspach są inni, na Flores tylko werbiści. Jest nas dziewięciu z Polski, dwóch następnych na Jawie, razem jedenastu z dwudziestki, która przyjechała tu w 1965 roku – odpowiedział o. Tadeusz. Wyglądał na spokojnego, pogodzonego z losem, chyba szczęśliwego. Słowa cedził z umiarem.

– Jak się ma system kastowy?

– Są dwie kasty. Nie ma teraz tej najniższej, niewolników. System podtrzymuje migracja. To przybysze z innych części Flores, a także z innych wysp dyktują podziały. Mają więcej pieniędzy, są mądrzejsi, sprytniejsi, a przynajmniej za takich się uważają.

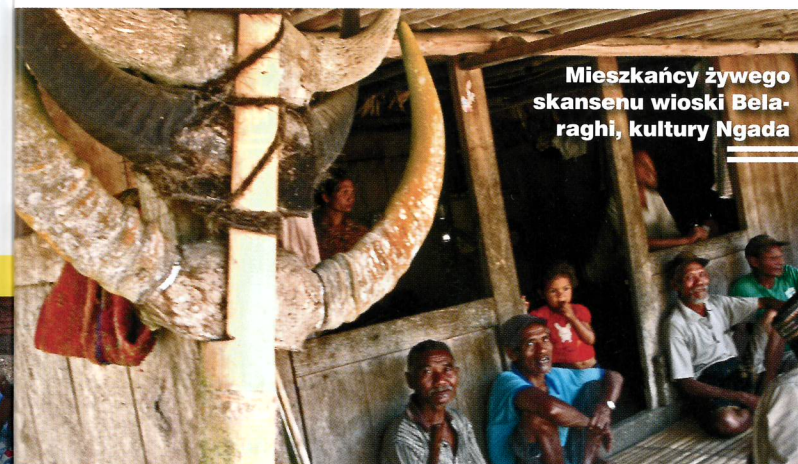
– Ilu chorych dziś ojciec odwiedził?

– Kilku. W tej parafii, w Busand, jest 11 tysięcy wierznych, 275 osób chorych. Każdego z nich raz w miesiącu odwiedzam. To są przeważnie ludzie starzy, z reumatyzmem i innymi problemami. Nie powinniśmy o nich zapominać. To nie jest mój obowiązek, raczej hobby – spokojnym tonem mówił o. Tadeusz.

– W upale, w trudnym górskim terenie, najczęściej piechotą! Ile ksiądz ma lat?

– 76. Jesteśmy na wysokości 550 m n.p.m., temperatura rzadko tutaj spada poniżej 20 st. C. Wyżej w górach może być chłodniej, nawet 5 st. C.

Wyszliśmy na zewnątrz obejrzeć kościół. Porażał skromnością, niemal zupełny brak obrazów i malowideł na ścianach. Krzesła plastikowe. Zwróciłem uwagę na sporych



rozmiarów pęknięcie ściany za ołtarzem. Ze szparą na wylot.

– Często u was trzęsie?

– Często, Flores jest typową wyspą wulkaniczną. Przyzwyczailiśmy się. To drzewo – wskazał potężny pień przypominający platan – nieraz uratowało mi życie.

– W czasie trzęsienia ziemi?

– Właśnie. Jak poczujesz trzęsienie ziemi, musisz opuścić dom, wyjść na zewnątrz, ale i tam nie jesteś bezpieczny. Ziemia może się rozstąpić. Wtedy najlepiej złapać się dużego drzewa. Jego korzenie sięgają głęboko i we wszystkie kierunki. Są posplatane. Takie drzewo nie obsunie się w wyrwę w ziemi. Przynajmniej nie tak szybko.

Na Flores są czynne i nieczynne wulkany, a region jest aktywny tektonicznie. Ten najsłynniejszy – Keli Mutu – jest wygasły i uważany jest za świętą górę. Z trzema kolorowymi jeziorami. Chroni go park narodowy. Jest miejscem pielgrzymek. Jeziora co pewien czas zmieniają kolory.

Floryzejczycy wierzą, że jest to miejsce przebywania duchów, które po śmierci wędrują. Duch maE może opuścić wioskę i pozostać tu na zawsze. Zanim duchy osiągną jedno z jezior, muszą zameldować się przed strażą Konde Ratu u wrót Perekonde. Które z jezior zasiedlił duch, zależy od wieku i charakteru człowieka, który go nosił. Woda w jeziorach zmienia kolor bez uprzedzenia – i duchów, i ludzi. Gwałtownie, jak kobieta twarz.

– A jak ze zdrowiem, ojciec Tadeuszu?

– Zaatakował mnie wirus z rodziny polio. Zwykle wykańcza faceta w ciągu trzech dni. Ze mną mocował się cały miesiąc i nie dał rady. Byłem tu pierwszym na Flores, którego zaatakował. Szczęście, że trafiłem w ręce pielęgniarki, który miał doświadczenie z polio. Zaaplikował mi zastrzyk, dawkę uderzeniową, i powiedział, że są niewielkie szanse, że przeżyję. Wirus brał się już za mózg i serce. Przeżyłem.

– Śpiewają – usłyszałem głosy i wyrzalem na zewnątrz. Skąd w górskiej wiosce tak wspaniałe śpiewy, tak estetyczne stroje, nieskazitelnie czyste – niebieskie i żółte – koszule?

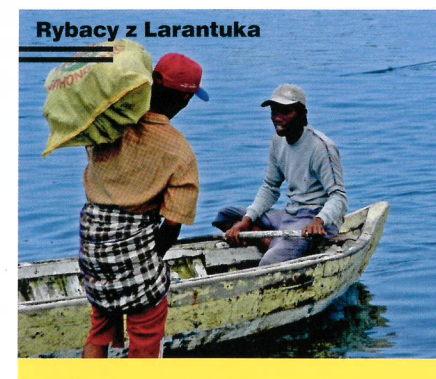
– Dziś poprzychodzili tu z całej wioski. Do tego to oni mają talent. Przeważnie dziewczęta, one najlepiej śpiewają – chwalił ojciec Włodzimierz Gorgoń.

Miał do tyłu zaczesane włosy. Staromodnie na brylantynie. Fryzurą przypominał mojego ojca z fotografii w młodości. Palil papierosy, jednego za drugim. Mocno kaszlał. Jego niski, ochryply głos był spokojny, pogodny i życzliwy. Jak na księdza – nieśmiały. Mówił – jak o. Tadeusz – rzeczowo i bez namysłu. Od 1982 roku prowadził parafię w Dżerebu. Zajmował się stacją główną i piętnastoma stacjami filialnymi. Kiedyś wędrował tam pieszo, teraz są tam drogi. Główna wioska leży w kotlinie otoczonej wysokimi górami. Na zboczach po okręgu, tworząc koronę, leżą kolejne przysiółki. Miejscowi porównują to z okrętem na falach. Kiedyś dolina była zalana morzem i jedynie wioska Bena – podobna do łodzi – spoczywała na falach. Dziś jest tam kompletnie sucho.

– Czy są jakieś różnice między ludźmi z gór a tymi z wybrzeża?

– W górach mieszkają tylko katolicy, na wybrzeżu katolicy i islamieści. Ci z gór są bardziej zaradni i bardziej wybuchowi. Ci z wybrzeża jeszcze się nie ruszą, a już są spoceni. Ciągłe szukają cienia, aby położyć się spać.

Zapytałem o hobbitów, ale tematu nie znali. A może Kościół zabrania o nich mówić? Szczałki człowieka z Flores (*Homo floresiensis*) zostały namierzone w jaskini w Liang Bua w 2003 roku. Datowano je na 18 tysięcy lat. Dorosły osobnik był z metra cięty i ważył nie więcej niż 30 kg.

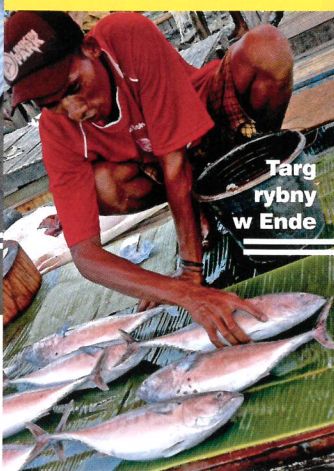


Przeżył neandertalczyka i z pewnością nie był to *homo sapiens*. Najniżsi z żyjących obecnie mieszkają na Andamanach (ludy Twa i Semang) i osiągają 135 cm. Pigmeje afrykańscy mierzą około półtora metra. Hobbit z Flores, osiągający wzrost dzisiejszego dziesięciolatka, był dość inteligentny i zręczny. Miał mały mózg, wielkie zęby, rozłożyste ramiona i wielkie stopy w stosunku do krótkich nóg. Tropy wskazują, iż potrafił polować na większe od niego drapieżniki, rozpalić ogień i wykonywać proste narzędzia. Flores była przed kilkunastoma tysiącami lat miejscem rodem z baśni. Wcześniej wymarłe gatunki przetrwały tu dłużej niż gdziekolwiek, przybierając kartowatą lub gigantyczną formę. Żyły tu stegodony, ministonie wielkości krowy, pięciometrowe smoki-jaszczury i szczury rozmiarów świni. Wiele wskazuje na to, że na skutek izolacji wyspy ewolucja poszła tu swoim torem. Prawdopodobnie ten drugi gatunek człowieka żył jeszcze na Flores 12 tysięcy lat temu, równoległe z krewniakiem *homo sapiens*. Był zatem ostatnim – poza naszymi przodkami – przedstawicielem rodzaju ludzkiego. Z inspiracji Tolkienowskimi Niziołkami nazwano go hobbitem. Na Flores powszechne jest przekonanie, że Ebu Gogo żyły jeszcze pięćset lat temu, w czasach kolonizacji wyspy przez Holendrów, a w XIX wieku wśród tubylców żywe były legendy o małym

owłosionym człowieku z gór.



Produkcja wina palmowego i destylatu



Targ rybny w Ende

– Jak wyglądały pierwsze tygodnie na Flores? – zmieniłem temat rozmowy.

– Trzy pierwsze miesiące – nauka języka. W tym czasie msze – już po indonezyjsku – odprawialiśmy prywatnie. Później przyszły pierwsze msze z wiernymi. Kazanie było jeszcze napisane i czytaliśmy je z kartki – mówił o. Włodzimierz.

– To trudny język?

– Bardzo łatwy. Bez deklinacji, bez koniugacji, bez żadnych odmian i litery są łacińskie. Wystarczy znać słówka. Większość misjonarzy mówi po indonezyjsku. My z ojcem Włodzimierzem jesteśmy wyjątkiem, bo rozmawiamy na parafii po polsku, a wzięło się to stąd, że od wielu lat mieszkaliśmy blisko siebie – kontynuował o. Tadeusz.

Golym okiem, a także intuicyjnie widzę, że wykonują tu dobrą robotę. Z determinacją i pełnym zaangażowaniem.

– Florezyjczycy są potomkami trzech ludów, których przodkowie przyплыwali w ciągu wieków na wyspę: Aborygenów, Hindusów i Chińczyków. Ludzie są tutaj bardzo serdeczni, przynajmniej tak wyglądają. Ale bywają fałszywi. Nie można im zaufać w stu procentach. Oni nas wołają od Holendrów czy Niemców. Wołają z nami obcować. Poprzez słowiańską otwartość jesteśmy im bliżsi – zauważył o. Włodzimierz.

– A magia, praktyki traktowane przez Kościół jako pogańskie?

– Czarów już się raczej nie praktykuje. Ale siła starych, dawnych wierzeń pozostała. Mimo że przychodzą do spowiedzi i komunii, wiemy, że pozostają bardziej oddani starym wierzeniom. Owszem, zamówi mszę, pomodli się, ale pójdzie zaraz potem do szamana, znachora. Zabobony. Potrafią cuda robić. Przed pójściem po drewno do lasu, przed rozpoczęciem budowy składają ofiary np. z koguta – przekonywał o. Włodzimierz.



Mieszkańcy żywego skansenu – wioski Wogo, kultury Ngada

– Jak wygląda pochówek? Gdzie są cmentarze w tych górskich wioskach?

– Jak myśmy tu przyszli, grzebali ludzi przed domami. Potem namawialiśmy ich, aby tworzyć cmentarze. Rząd się w to włączył i wydał ustawę zakazującą grzebania zmarłych przed domem (w 1990 roku). Do tej pory obrzędy zaczynają się w domach, według tradycyjnych zasad, dopiero potem proszą księdza, zresztą też do domów. Jeśli człowiek nie umrze śmiercią naturalną, tylko na przykład na skutek wypadku (Mati Golo) – porażenia piorunem, albo choroby – wtedy rytuały pogrzebowe są nie z tej ziemi. Trzeba wiele zwierząt zabić i złożyć je w ofierze, aby obłaskawić złe duchy. Nadal pochówki są wokół domów, często w takich pochówkach uczestniczymy. Biskup nie zakazuje chować koło swoich domów. Nie wolno nam tego odmawiać.

– A najważniejsze święto?

– Nowy Rok (Reba) – gromadzi niemal wszystkich. Nawet jeśli ktoś pojechał za granicę, to wraca na chwilę. Zbierają się całe klany i planują przyszłość, co będą w nad-

chodzącym roku i latach następnych robić. To jest bardzo dobre. Przy tej okazji załatwia się wiele trudnych spraw o charakterze klanowym, jak i rodzinnym. Na czele klanu stoi wódz, który rozstrzyga i załatwia wszystkie sprawy. To miejsce, gdzie rząd nie ingeruje ze swoimi prawami i obowiązkami.

Reba w Bena, jednej z tradycyjnych wiosk liczącej 900 lat, trwa sześć dni. Cztery rody, bo cztery trzcinowe parasole na środku rynku między domostwami. Tańce, śpiewy i wyzerka z zarzniętych na tę okazję byków. Stąd zdobiące chaty girlandy z bydłowych czaszek. Obowiązują stroje z czarnego ikatu, tkaniny charakterystycznej dziś dla całej Indonezji. Najważniejszy z bogów firmamentu ludu Ngada – Gae Dewa – jednoczy Dewa Zeta (nieba) i Nitu Sale (ziemię). Ludzie w Bena żyją w drewnianych chatkach krytych słomą. Domy z matki przechodzą na córki, czyli panuje matriarchat. Żywy skansen udostępniony turystom. Ukrywają komórki i telewizory. I dobrze zarabiają. A turyści mają znakomitą atrakcję dzikości sprzed wieków. Z czasów hobbitów. W necie znalazłem zachwyty. Ktoś nazwał to miejsce surrealistycznym. Miał rację, w rzeczy samej. Porównywał je z innymi atrakcjami Indonezji, których ja nie znałem.

– Jak zdobyć żonę?

– Większość małżeństw to związki w ramach tego samego klanu. I to jest problem. Rodzi się wiele dzieci nie-normalnych, półnormalnych. Próbuje ostrzegać, rozmawiamy, jednak to wszystko na nic. Facet może wziąć kobietę z innego klanu, biedniejszą. Ale jeśli podobnych zabiegów próbuje kobieta – wpada w problemy. Młodzi zazwyczaj mają niewiele do gadania. Jak rodzice nie wyrażą zgody na ślub, młodzi nie przyjdą do księdza o niego prosić, bo się boją rodziny. Żyją na knebel. Ale jeżeli wszystko jest OK, mężczyzna płaci rodzicom panny młodej i ta staje się jego własnością.

– Własnością? W ramach prawa klanowego?

– Jest użytkownikiem. Może ją lżyć, bić, mordować i pozostaje bezkarny.

– Ile musi zapłacić?

– Najdroższa kobieta, którą pamiętam, 1970 rok, kosztowała 30 bawołów, 30 krów, 30 koni, 100 baranów i 30 beczek świeżych ryb złowionych w morzu i 20 złotych naszyjników. Dla biedniejszych klanów są to szokujące koszty. Najczęściej wystarcza 5 kóz.

– Jeśli się nie układa, a pewnie często tak jest, to czy kobieta może wrócić do swojej rodziny, opuścić męża?

– Kobieta nie ma wyboru. Została sprzedana. Transakcja nie podlega reklamacji. Jeśli jest odważna – zgłosi się do nas i wtedy mediujemy. Większość spraw kończy się kompromisem, załagodzeniem sporu. Wiele kobiet, większość, siedzi jednak pod miotłą męża. Są maltretowane i zastraszone. To trwa latami i rzadko wychodzi na jaw. Rodziny żyjące w harmonii zdarzają się tu bardzo rzadko.

– To są rodziny wielodzietne?

– Teraz nie są bardzo dzietne, czworo, pięcioro dzieci to dzisiejszy standard.

– Są jednak na Flores klany, gdzie kobiety mają więcej praw...

– Są wioski, gdzie jest matriarchat. Tam mężczyzna idzie do domu kobiety i zwykle jest na straconej pozycji. Nie ma nic do gadania. Rządzi rodzina jego żony. Także w sprawie losów ich dzieci, to jest wyboru dla nich szkoły czy męża/żony. Wprowadzie te zwyczaje coraz bardziej zanikają, ale wciąż są obecne. Tak tu wygląda XXI wiek.

– Wesela jednak muszą być śpiewne i huczne...

– Śluby są większe i dłuższe niż w Polsce. Trwają po trzy godziny i bierze w nich udział nawet dwa tysiące osób. Cała wioska i część okolicznych.

– A spotkania towarzyskie są przy kawie, którą pije się od najmłodszych lat. Goście sadowią się przed domem. A kawę uprawia niemal każda rodzina (na sprzedaż). Uprawiają też ryż i kukurydzę (na własne potrzeby).

– Ludzie przywiązani są do ziemi? Mają do niej prawo?

– Prawa własności ziemi są jeszcze bardziej skomplikowane. Coś na kształt feudalizmu. Przybysze, ci, którzy pojawili się tu z zewnątrz, byli mądrzejsi, sprytniejsi i wykupili ziemię za bezcen. A teraz oddają ją w użytkowanie innym. Jeden spór z właścicielem może doprowadzić do wyrzucenia najemcy z użytkowanej przez niego ziemi. W każdej chwili może ją stracić. Na tym tle dochodzi do poważnych konfliktów, nawet morderstw.

W teorii marksistowskiej feudalizm jest formacją społeczną następującą po niewolnictwie, a przed kapitalizmem. 9 kwietnia 2008 roku Tajna Rada Wielkiej Brytanii zaakceptowała zmiany prawa prowadzące do wprowadzenia demokracji i likwidacji ostatniego w Europie systemu feudalnego na wyspie Sark.

– Edukacja może to zmienić...

– Szkoły, kształcenie są teraz obowiązkowe. Ale na początku lat 80. XX wieku, kiedy tu przybyliśmy, większość ludzi była analfabetami. Teraz jest ich nie więcej niż 10 proc. Holendrzy kładli nacisk na edukację i mieli rację. Teraz my to robimy.

– Ludzie chętnie chodzą do kościoła?

– Indonezyjczycy są bardzo religijni. Wiara w Boga jest tu obowiązującym standardem. Nie okazują tego jednak w swoim środowisku, ale sytuacja się zmienia, gdy pojawiają się obcy, kiedy oni są na zewnątrz.

– Bolesne było wasze rozstanie z polskim paszportem? – kolejny raz zmieniłem temat rozmowy.

– Zmusili nas do przyjęcia obywatelstwa indonezyjskiego. Teraz do Polski potrzebujemy wiza. Traktują nas jak terrorystów, bo Indonezja to jedna z wylęgarni tego zła na świecie – ciągnął odpowiedź o. Włodzimierz.

– Czego wam tu z Polski brakuje? – ciekawiło mnie, czy po niemal pół wieku można jeszcze tęsknić za krajem dzieciństwa.

– Po tylu latach – niczego. Może głosów, rozmów z rodziną, choć o tym rzadko myślimy – zakończył rozmowę o. Włodzimierz Gorgoń. □